DYSKUSJE I POLEMIKI

MARCIN KUŹMICKI* | UNIWERSYTET IM. ADAMA MICKIEWICZA W POZNANIU

Co jest istotne w dyskusji o zasadach wydawania tekstów staropolskich? Uwagi po lekturze recenzji Anny Lenartowicz-Zagrodnej („Język Polski" 2024, CIV, z. 1, s. 121–130)

doi: https://doi.org/10.31286/JP.001027

Czytając kilkunastokrotnie recenzję Pani Profesor Anny Lenartowicz-Zagrodnej, starałem się zrozumieć i odpowiedzieć sobie na pytanie, co sprawia, że tak trudno mi przystać na konkluzję wyrażoną w recenzji i dlaczego tak często nie podzielam zdania Autorki recenzji. Moja odpowiedź będzie zatem podobna do pracy badawczej, którą wykonuję, czyli będę chciał zrozumieć źródło i mechanizm nieporozumienia i przekłamań, jakie pojawiają się w recenzji. Wynotowawszy i przeanalizowawszy kilkadziesiąt (ponad 30) takich miejsc, doszedłem do pewnej ogólniejszej obserwacji, mianowicie takiej, że lwia część tych miejsc to nieporozumienia czy wręcz przekłamania, których źródłem jest brak pełnego kontekstu dla recenzowanych przykładów/wypowiedzi/myśli. Mając wstępnie rozpoznane źródło nieporozumienia, chciałbym przejść do wybranych przykładów, by przywrócić im właściwy kontekst.

Na stronie 126 Autorka pisze:

> W mojej ocenie zabrakło rzetelności badawczej podczas analizy przykładu na s. 66–67, gdzie autor nie przekazuje czytelnikowi pełnych informacji, a nawet wprowadza czytelnika w błąd: „Natomiast znak skrócenia (nadpisany łuczek nad *a*) po literach *fca* jest typową abrewiacją wskazującą, by dany wyraz uzupełnić o literę *n* lub *m*" (s. 66), by później zademonstrować swoje odkrycie: „Jak już wcześniej wspominałem, ów łuczek nad literą *a* sygnalizował najczęściej konieczność uzupełnienia zapisu o literę *n* albo *m*. Najczęściej nie oznacza jednak, że zawsze tak się działo" (s. 67).

Wspomniana przez Autorkę analiza nie znajduje się na stronach 66–67, a na stronach 64–69. Dopiero pełny wskazany przeze mnie kontekst umożliwia zrozumienie analizy. Czytelnik od samego początku ma dostęp do fototypii, transliteracji oraz transkrypcji, jest o wszystkim poinformowany, w logicznym układzie od wersji przedstawionych przez wydawców po

* marcin.kuzmicki@amu.edu.pl; ORCID: 0000-0001-6534-3600

możliwość odmiennej interpretacji, co zostało wsparte dalszą analizą (s. 68–69), do której już Autorka recenzji nie nawiązuje. Co więcej, nie jest to moim „odkryciem", tylko przedstawieniem możliwości interpretacji danego faktu na podstawie zgromadzonego materiału z uwzględnieniem czynnika pamięciowego, redakcyjnego, którym posłużył się średniowieczny pisarz. Podkreślić należy, że możliwe są dwie, wykluczające się wzajemnie, interpretacje tego miejsca w rękopisie, które stało się przedmiotem analizy. Nie ma mowy o „odkryciu", a uwaga poczyniona jest na wyrost, natomiast do właściwej oceny analizowanego przykładu potrzebny jest po prostu szerszy kontekst.

Drugi akapit na stronie 125 recenzji rozpoczyna się od takiej konstatacji:

> Rozważaniom nad poprawnym odczytaniem formuły przysięgi (*et sancta crux*/*ad sanctam crucem*) towarzyszy błędnie (a przynajmniej niezrozumiale) postawiona teza: „Wydawca, decydując się na formę nominatiwu singularis […]" (s. 69).

Opisywany fragment dotyczy odczytań/interpretacji, których dokonują wydawcy, a każdorazowo podjęta przez nich decyzja pociąga za sobą także zmianę relacji nadawczo-odbiorczej formuły wstępnej zapiski sądowej, o czym traktuje przywołany przez Recenzentkę fragment. Nie ma w ogóle mowy o poprawnym odczytywaniu tejże formuły w przywołanym fragmencie książki, wręcz przeciwnie, to edytor będzie musiał podjąć jakąś określoną decyzję, co konkluduję na końcu tego akapitu słowami: „trzeba pamiętać, że to edytor zdecyduje, w jaki sposób «opowie» tę historię" (s. 69). Gdyby zaś Recenzentka chciała przytoczyć zdanie, które znalazło się 4 wiersze wyżej: „Zatem każdorazowa próba ich odczytania będzie jednocześnie interpretacją wykluczającą możliwość innej lekcji tego miejsca", w ogóle nie pojawiłaby się kwestia poprawności odczytań, gdyż nie tego dotyczą analizy, a kwestię poprawności wykreowała Autorka recenzji. Nie stawiam bowiem żadnej kategorycznej tezy, tylko – jak wspomniałem wyżej – ukazuję sytuację, w której podjęte przez edytora decyzje będą rzutować na interpretacje (dwie bardzo odmienne interpretacje) wydawanego fragmentu.

W ostatnim akapicie na stronie 125 Recenzentka pisze: „Nie jest zrozumiałe, dlaczego omawiając problem z rozwiązaniem skrótu […], autor postuluje konieczność poznania pełnego kontekstu i sięgnięcia do indeksów" – nie zawierzam tam samej abrewiacji, czyli – zdaniem Autorki recenzji – nie stosuję najprostszego rozwiązania. Dalej (s. 126) pisze Autorka:

> Widoczna na końcu wyrazu „pętelka" w tradycji rękopiśmiennej oznaczała *s*, zatem tu liczbę mnogą. Dla przeciwwagi dodam, że w innym miejscu analiz autor, demonstrując różne sposoby rozwinięcia przez wydawców wspomnianego wyżej skrótu

,

> wyraża zaufanie do stałości abrewiacji: „Na poniższej fotografii widoczny jest klasyczny skrót, który znajduje się w każdym podręczniku paleografii [Semkowicz 2002: 421; Cappelli 2004: 302; Szymański 2004: 358]" (s. 99; por. też s. 115).

Odpowiedź na wyrażoną wątpliwość, dlaczego nie zastosowałem najprostszego, zdaniem Autorki, rozwiązania, jest dwojaka. Pierwsza, wyrażona *expressis verbis* – tylko trzeba przeczytać analizę do końca – nie można bowiem jednoznacznie i w sposób pewny rozczytać tego skrótu, to wydawca musi podjąć jakąś decyzję, która staje się od razu interpretacją (dwa różne wydania, dwie różne końcówki – nie ma dobrego lub złego odczytania, gdyż rzeczywistość pozatekstowa jest nam w oczywisty sposób niedostępna). Jeśli nie ma pewności co do tego, w jaki sposób odczytać abrewiację, pozostaje przyjrzeć się, jak historycy, wykorzystując dostępny materiał (indeksy osobowe, pozostałe łacińskie zapiski sądowe), dochodzą do odmiennych niż filolodzy interpretacji tego samego fragmentu. Istotą tej analizy nie było ukazanie poprawności czy niepoprawności odczytania, gdyż w tym konkretnym wypadku nie da się tego zrobić, lecz poznanie pewnych procedur, decyzji, które podejmują edytorzy, nim zdecydują się na konkretne rozwiązanie. Druga sprawa, która nie pozwala mi zastosować „najprostszego rozwiązania", to charakter owej abrewiacji, gdyż jednak stałość skrótu określanego jako „pętelka" jest dyskusyjna. Samo już określenie „stałość" wzbudza kontrowersje w odniesieniu do średniowiecznej praktyki pisarskiej, dlatego kategorycznie muszę sprzeciwić się imputowaniu mi, jakobym „wyrażał zaufanie do stałości abrewiacji"; pisanie, że coś jest klasycznym, podręcznikowym skrótem, odnosi się nie do praktyki pisarskiej średniowiecznego skryby, lecz do procesu dydaktycznego związanego z nauką paleografii, są to dwa różne zjawiska, dwie odmienne perspektywy patrzenia na zapis. Zgadzam się natomiast z Recenzentką, że owa abrewiacja bardzo często oznaczała skrót na *s* z uzupełnieniem, a gwoli ścisłości – najczęściej skracano tak końcówkę *-is*, tyle tylko, że w XV wieku tę abrewiację często stosowano także, by oznaczyć ucięcie części wyrazu, zazwyczaj końcowej części (*φ* – symbolem tym posługuję się, by zastąpić abrewiację na *-s*, ową „pętelkę"] – dat*φ*: dat^{um}, dat^{ae}; p˜t*φ* p^{rae}t^{erito}. Owa „pętelka" jest znakiem, który najbardziej wymyka się szablonowości spośród abrewiatur, przynajmniej w XV wieku. Przyznam, że nie prowadziłem nigdy badań statystycznych nad funkcją tego skrótu, nie mogę również przytoczyć żadnej literatury poświęconej temu zagadnieniu. Jest to obserwacja, którą mogę poczynić na podstawie kilkunastoletniej praktyki czytania ksiąg konsystorskich z XV wieku i rot sądowych z przełomu XIV i XV wieku (nie tylko polskich), chociaż już nawet pobieżne sprawdzenie w leksykonie abrewiatur u Cappellego odpowiednich skrótów potwierdza moje spostrzeżenia w tym zakresie.

Kolejną uwagą, z którą nie sposób się zgodzić, jest fragment dotyczący wyolbrzymiania różnic w edycjach:

> Uważam jednak, że zdarza się autorowi przypisywanie zbyt dużej rangi niektórym zaobserwowanym w edycjach różnicom. Na przykład w podrozdziale 5.3. *Dwujęzyczność polsko-łacińska – dwa porządki wydawnicze* próbuje dowieść, że (pozwolę sobie ująć to w sposób uproszczony) historycy bardziej dbają o część łacińską, a filolodzy – o polską.

Faktycznie Autorka recenzji dokonuje uproszczenia, pisząc o „pewnej puli uchybień" w dotychczasowych edycjach rot, a konkluzję, że historycy większą wagę przywiązywali do części łacińskojęzycznej, a filolodzy do polskiej, z całą stanowczością podtrzymuję. Czynię to

na podstawie nie „pewnej puli uchybień", lecz przeprowadzonych analiz, które znajdują się na stronach 51–105 (podrozdział 5.3), jak również na podstawie wcześniej przeprowadzonych przeze mnie badań – ich ślad znajduje się w bibliografii[1]. Nie mogę zatem przystać na opinię Autorki, że różnice są wyolbrzymione i mamy do czynienia jedynie z „pulą uchybień" (jak np. odtwarzanie transliteracji przez historyków czy pomijanie łaciny w tekstach polskich); co więcej – już same zasady opracowywania tekstów dawnych skłaniają nas do określonych zachowań, odczytań. Można wręcz powiedzieć, że nasze predylekcje są z góry zaprogramowane i sprofilowane, więc naszą rolą będzie wypracować zasady, które pozwolą uspójnić narzędzia, z jakich korzysta badacz edytor.

W kontekście poprzednich uwag chciałbym przywołać jeszcze inny fragment z recenzji:

> Być może błąd w odczytaniu ma charakter jednostkowy. Aby wysuwać wniosek o ignorowaniu przez językoznawców polonistów łacińskiej warstwy tekstowej, autor powinien zlokalizować w rękopisie wszystkie miejsca zawierające problematyczny skrót i każdorazowo zbadać sposób jego realizacji w ocenianej edycji.

Ponownie muszę się upomnieć o uwzględnienie szerszej perspektywy podrozdziału 5.3, który obejmuje strony od 51 do 105. Nie wyciągam wniosku o ignorowaniu przez polonistów łacińskiej warstwy tekstowej na podstawie jednostkowego błędu; jak wspomniałem – poświęcony jest temu aspektowi podrozdział 5.3. Zresztą już sama praktyka wydawnicza przyjęta przez Henryka Kowalewicza i Władysława Kuraszkiewicza i wyrażona wprost we wstępie do wydania (pomijanie wyrazu/wyrazów łacińskich) pokazuje drugorzędność języka łacińskiego względem polszczyzny[2]. Analiza, którą proponuje Autorka (zlokalizowanie wszelkich błędnie odczytanych abrewiatur *quod*), być może dałaby nam pojęcie o lepszym czy gorszym warsztacie paleografa albo informację o stanie zachowania rękopisu, czy nawet o osobliwych predylekcjach pisarskich średniowiecznego skryby, lecz nie wniosłaby nic więcej do problemu omawianego w podrozdziale 5.3.

Zgadzam się z Recenzentką, gdy pisze: „Czy nie może to świadczyć po prostu o zwyczajnym błędzie wydawcy (poczynionym w tym konkretnym wypadku przez filologa)?" – w kontekście odczytania abrewiacji *quod* jako *pro*. Chciałbym tylko nadmienić, że praca nad zapiskami sądowymi wyglądała podobno tak, że to prof. H. Kowalewicz (filolog klasyczny) sczytywał rękopis i przekazywał notatki prof. W. Kuraszkiewiczowi (filologowi, slawiście).

W innym przykładzie, odnoszącym się do fragmentu, gdzie omawiam łacińską formułę stanowiącą obudowę polskiej zapiski sądowej (s. 71–81), Autorka pisze:

1 Zob. M. Kuźmicki, *Problemy edytorstwa staropolskiego na przykładzie dawnych zapisek sądowych*, [w:] K. Borowiec, D. Masłej, T. Mika, D. Rojszczak-Robińska (red.), *Jak wydawać teksty dawne*, Rys, Poznań 2017, s. 369–390; tenże, *Emendacje w tekstach średniowiecznych – problem ich interpretacji i edycji (na przykładzie zapiski sądowej z księgi ziemskiej poznańskiej II)*, „Linguistica Copernicana" 2020, nr 17, s. 239–258; tenże, *O pewnej osobliwości w wydaniu kaliskich rot sądowych, która może się stać przestrogą dla badaczy oraz edytorów tekstów dawnych*, „LingVaria" 2021, t. 16, nr 1(31), s. 85–98.

2 *Wstęp*, [do:] *Wielkopolskie roty sądowe XIV–XV wieku*, zebrali i oprac. H. Kowalewicz, W. Kuraszkiewicz, t. 1, Zakład Narodowy im. Ossolińskich, Wydawnictwo Polskiej Akademii Nauk, Poznań 1959, s. 12.

> Znów rodzi się pytanie, czy – skoro wychwycony błąd zaistniał tylko raz – na jego podstawie nie formułuje się zbyt daleko idących wniosków?

Ponownie Autorka zakłada, że wnioski są budowane na podstawie jednego przykładu, jakby kontekst całego podrozdziału 5.3, na którego końcu nakreślam charakter owych pomyłek, nie istniał. Brakuje rozgraniczenia, czym jest pojedyncza egzemplifikacja, a czym jest metoda postępowania i co jednocześnie jest istotą książki, czemu faktycznie jest poświęcony cały podrozdział 5.3.

Kolejny fragment recenzji, który wymaga kilku słów komentarza:

> Podobną uwagę mam do analiz zamieszczonych na s. 141–142. Omówienie błędnej decyzji wydawcy odbywa się na fragmencie „y s z e g i t a m i p o l o s z i l a" (s. 141), natomiast swój wywód autor oparł na fragmencie rozbudowanym o jedno słowo, które pozwoliło bez problemu udowodnić jego racje, nadając temu wywodowi znamiona spektakularnego odkrycia: „**p o ſ a g** yſzegi tam poloſzila" (s. 142).

Wspomniana „podobna uwaga" może odnosić się do nierzetelności badawczej, jaką mi Autorka zarzuca na początku akapitu zawierającego zacytowany fragment, albo wprowadzania czytelnika w błąd, albo oceny rzekomego spektakularnego odkrycia, które również kilkukrotnie jest mi „zarzucane". Istotą prac analitycznych jest uwzględnianie pełnego kontekstu, do którego odnosi się analizowany materiał. Zatem i w tym wypadku nie możemy skupić się na fragmencie ze strony 142 czy nawet 141–142, gdyż omówienie tego przykładu rozciąga się na strony od 140 do 143. Czytelnik jest wprowadzony w zagadnienie, które będzie przedmiotem analizy, ma dostęp do wydania oraz zdjęcia rękopisu, dzięki czemu może na bieżąco konfrontować i oceniać moje odczytania. Na koniec podrozdziału czytelnik otrzymuje wnioski i konkluzję, która w tym konkretnym wypadku pokazuje, że sam rękopis daje nam czasem więcej niż naukowe opracowania. Chciałbym w tym miejscu odnieść się do uwagi na temat analizy opartej na jednym słowie. Pomijam fakt, że słowo jest umocowane składniowo, a przecie historia języka polskiego zna wiele wspaniałych analiz, których przedmiotem było jedno słowo, a nawet pojedyncze litery. Moją rolą było przedstawienie rzetelnej analizy opartej na materiałach i własnych kompetencjach, a zakres analizy wyznaczony został na podstawie rozpoznanego problemu.

W ostatnim akapicie recenzji czytamy:

> W pracy kilkakrotnie pojawiły się komentarze oceniające podejście historyków jako mniej wartościowe (np. „część łacińska wprowadza pewien chaos, który rodzi się z przyjęcia w KowKur odmiennych zasad wydawania tekstów łacińskich – tych wypracowanych przez historyków", s. 69).

Komentarz ów najlepiej obrazuje, jak łatwo jest przez zmianę kontekstu (tu: jego skrócenie) zmienić kompletnie sens wypowiedzi. Przytoczę rzeczony akapit z książki *in extenso*, by

unaocznić, że jego wymowa jest diametralnie różna od tej, która wynika z przywołanego przez Recenzentkę fragmentu [ów fragment zaznaczam drukiem wytłuszczonym]:

> Część polska omawianych zapisek sądowych jest zasadniczo dobrze opracowana przez wydawców KowKur (zapiska zgodna jest z literą rękopisu, co ważniejsze, zaznaczone są granice wiersza, pozwalające odtworzyć układ tekstu w rękopisie, także pisownia łączna i rozdzielna jest odwzorowana zgodnie z porządkiem rękopisu), natomiast **część łacińska wprowadza pewien chaos, który rodzi się z przyjęcia w KowKur odmiennych zasad wydawania tekstów łacińskich – tych wypracowanych przez historyków**. Zestawianie dwóch porządków wydawniczych w jednej zapisce ma zdecydowanie negatywny wpływ na czytelność tekstu (s. 69).

Nie ma mowy w przywołanym akapicie o wartościowaniu czy deprecjonowaniu czyichkolwiek osiągnięć. Pokazuję jedynie, że mieszanie porządków wydawniczych (historycznego i filologicznego), brak spójności w stosowaniu zasad – wprowadza chaos. Jeśli to postępowanie rzuca się cieniem na czyjąś praktykę, to w tym konkretnym wypadku na filologów, a nie historyków.

Kolejna grupa przykładów nieporozumień ma już inny charakter, nie jest w swej genezie związana z ograniczaniem czy zmianą kontekstu, lecz wynika raczej z odmiennego podejścia do struktury tekstu naukowego.

Autorka pisze, że w jej „odczuciu" egzemplifikacja materiału jest niereprezentatywna, i dodaje:

> Autor przedmiotem zainteresowania uczynił kilkadziesiąt zapisek, które sprawiły problemy dotychczasowym wydawcom lub które różnią wybrane wydania, przy czym zwykle problem nie dotyczy całej zapiski, ale pojedynczych słów. Tymczasem w wydanych rękopisach wielkopolskich ksiąg sądowych wystąpiło łącznie około 6000 zapisek. Przedstawienie tej informacji umożliwiłoby czytelnikowi identyfikację skali problemu i być może pozwoliłoby na złagodzenie zarzutów.

Liczba zapisek nie ma jakiegokolwiek związku z formułowanymi przez Autorkę zarzutami, a podstawę materiałową wyraźnie określam we wstępie, jak również decyzję, którą się kierowałem przy doborze materiału, to po pierwsze. A po drugie, na stronie 38 znajdują się akapit dotyczący liczenia zapisek sądowych oraz przypis 5, który odsyła do mojego artykułu, gdzie omawiam szczegółowiej ten problem. Podaję tam ponadto liczbę zapisek sądowych uwzględnionych w *Wielkopolskich rotach sądowych* (WRS; 6350), a także daty graniczne, w których zapiski polskie się pojawiają (1386–1444). Nie mam w zwyczaju rozwlekać tekstu, by sztucznie zwiększać jego objętość, a struktura tekstu naukowego, jak chociażby rozczłonkowanie pionowe (czyli wszelkie przypisy, odsyłacze, cytaty), spełnia funkcję odesłania do problemu, który został już omówiony. Tekst główny obudowany jest tekstami pomocniczymi, takimi jak bibliografia, indeks – dlaczego o tym piszę i zwracam na to uwagę? Ponieważ to są integralne elementy tekstu naukowego, zhierarchizowane, co pozwala rozkładać odpowiednio akcenty, by nie powtarzać pewnych treści oraz uwypuklić te kluczowe dla prowadzonego wywodu.

Zhierarchizowanie nie ma nic wspólnego z wartościowaniem informacji zawartych w tych odmiennie rozmieszczonych elementach.

W drugim akapicie na stronie 122 recenzji czytamy:

> W pracy omówione zostały „podejścia" historyków i filologów (konkretnie historyków języka polskiego) (s. 40–44). Szkoda, że nie pojawiły się informacje o innych metodologiach wydawniczych, zwłaszcza wypracowanych przez filologów klasycznych […]. Analizy M. Kuźmickiego opierają się wszak na materiale rot sądowych zawierających elementy łacińskie, można więc (a nawet należy) przyjąć, że w interdyscyplinarnym zespole opracowującym (hipotetycznie nowe) wydanie rot znajdzie się miejsce (a przynajmniej powinno) dla klasyka.

Jak sama Recenzentka zauważa, rozłożone przeze mnie akcenty wynikają bezpośrednio z materiału, który został poddany analizie. W akapicie rozpoczynającym 125 stronę Autorka zarzuca mi, że przyjąłem perspektywę wzorcowej łaciny klasycznej (co prawdą nie jest, ale do tego jeszcze się odniosę), a posługiwanie się przykładem: „Kolejną abrewiację wydawcy odczytują jako c^{ru}x, choć poprawną gramatycznie formą jest *crucem*" – jako egzemplifikacją rzekomej klasycznej perspektywy, jest pozbawione podstaw (zwłaszcza przy tym rzeczowniku). Chciałbym w tym miejscu jeszcze raz podkreślić wagę tekstu pomocniczego w tekstach naukowych, gdyż moja bibliografia jednoznacznie wskazuje, że korzystam głównie ze słowników do łaciny średniowiecznej oraz łaciny średniowiecznej w Polsce. Zatem odwoływanie się do osiągnięć klasyków (którzy nie są z automatu depozytariuszami wiedzy na temat łaciny średniowiecznej, choć ich kompetencje podziwiam) jest niezrozumiałe. Nie oznacza to jednak, że ich doświadczenia nad wydawaniem tekstów łacińskich nie są cenne, dlatego nie chciałbym w jakikolwiek sposób deprecjonować osiągnięć latynistów klasyków w kwestii wydawania tekstów dawnych.

W kwestii bibliografii wypowiada się Autorka tymi słowy:

> Załączona do pracy *Bibliografia* jest pokaźna, liczy bowiem ponad 200 pozycji, w tym również zagraniczne. Zastanawia jednak, dlaczego do tak wielu uwzględnionych w niej opracowań nie pojawiły się odniesienia w toku wywodu [tu następuje wyliczenie – M.K.]. Trudno w tej sytuacji oprzeć się wrażeniu, że doszło do sztucznego rozbudowania *Bibliografii* i pozornego unaukowienia.

Z pełnym przekonaniem mogę napisać, że jest to niepełna bibliografia, czego najlepszym przykładem jest brak literatury dotyczącej zagadnień z psychofizjologii widzenia (ten wątek powróci). Część przywołanej przez Autorkę bibliografii były to publikacje odnoszące się do kształtowania języka prawniczego i rozwoju tej odmiany języka. Nie sposób nie zaznajomić się z tą częścią literatury i pominąć ją w bibliografii, nawet wówczas, gdy nie odwołuję się do niej bezpośrednio w analizach, a zwłaszcza gdy interpretuje się roty oraz znaczenia w nich zawarte. Rzeczą całkowicie oczywistą jest, że gdy badacz zajmuje się rotami sądowymi, to zasady ich opracowania zna, świadectwo tego może być zawarte w tekście głównym, lecz

również w przypisie albo bibliografii, które są integralną częścią tekstu naukowego, a hierarchię tych elementów oraz informacji w nich zawartych określa autor na podstawie założonego celu publikacji.

Bywa i tak, że z jednej strony narażam się na zarzut rozwlekłego cytowania, umieszczania licznych ilustracji, z drugiej zaś strony brak odniesień czy też pozostawienie śladu znajomości literatury tylko w bibliografii również staje się zarzutem. Autorka wyraża zaniepokojenie także sposobem prowadzenia narracji i moim stosunkiem do osiągnięć wydawców (akapit rozpoczynający stronę 128). W moich wcześniejszych publikacjach nie raz odnosiłem się do ogromu pracy, którą wykonali badacze edytorzy, i jej wagi dla nauki, w przypisach pojawiają się stosowne odwołania[3]. Natomiast posłużenie się np. słowem „zdrada", ujętym dodatkowo w cudzysłów, wyraża pewien dystans wobec konkretnych ustaleń wydawców czy sposobów prezentowania tekstu, ale ani jeden z przykładów przywołanych przez Recenzentkę nie odnosi się do oceny dorobku badaczy, gdyż jest on niezaprzeczalnie ogromny. Dość powiedzieć, że przez kilkanaście lat terminowałem u prof. Tomasza Jurka, ucząc się paleografii, pracy na źródłach, wymieniając się doświadczeniami i kompetencjami w zakresie średniowiecznej łaciny i polszczyzny.

Zapowiedziałem wcześniej, że odniosę się jeszcze do psychofizjologii widzenia, czyli do kwestii związanych ze zjawiskiem projekcji. Powołałem się na nią w książce, przy czym samego terminu używam w innym znaczeniu niż Autorka, pisze ona bowiem tak (s. 124):

> Przestrzega na przykład przed sytuacją, kiedy „odczytywanie rękopisu staje się projekcją wcześniej założonego sensu na postać graficzną" (s. 117), to znaczy: wydawca z góry zakłada, co znajduje się w rękopisie. Takie postępowanie może bowiem prowadzić do błędnych odczytań. Zgadzam się z tym, jednak wydaje mi się, że autor również dokonuje takich właśnie projekcji, np.: „Gdyby spróbować odtworzyć prawdopodobny przebieg zdarzeń, wyglądałby on pewnie następująco: Ubysław zawinił spasienie łąki należącej do Przybka, więc pokornie poprosił, by ten przyszedł na oględziny szkód, bo chciał postawić poręczyciela za ich naprawienie. Rozzłoszczony zaistniałą sytuacją Przybek nie chciał rozmawiać z winowajcą, tylko pozwał go do sądu – i tu Ubysław się tłumaczy, że on chciał sprawę załagodzić, a Przybek nie chciał przyjść" (s. 117). Skąd wiadomo, że jedna strona procesu była *rozzłoszczona*, a druga *pokornie prosiła*? Tego typu przypuszczeń pojawiło się więcej […].

Zjawisko projekcji nie jest synonimem interpretacji, a już na pewno nie „przypuszczeniem"; używam tego terminu w kontekście psychofizjologii widzenia jako zjawiska, w którym zgodność z chwilowym nastawieniem jest czynnikiem o kluczowym znaczeniu dla postrzegania. Czynnik ten sprawia, że oczekiwanie na pojawienie się bodźców znacznie ułatwia spostrzeganie; jest to również bliskie strategii logograficznej czytania. W pełni zgadzam się z Autorką, że ulegam projekcji, co Autorka wykazała w kilku miejscach (literówki w wyrazie *scundus* nie mogłem dojrzeć nawet po kilkukrotnej lekturze), dlatego też świadom owego mechanizmu,

3 Zob. M. Kuźmicki, *Wydanie* Wielkopolskich rot sądowych *w świetle najnowszych ustaleń badawczych*, „LingVaria" 2015, nr 2(20), s. 205–219.

któremu podlegamy, zdecydowałem się na zdjęcia fragmentów wydań, a nie przepisywanie ich, gdyż niedociągnięć byłoby zapewne znacznie więcej i dużo trudniej byłoby je zweryfikować. Natomiast na stronie 117 rozpoczynam akapit od słów: „Gdyby spróbować odtworzyć prawdopodobny przebieg zdarzeń, wyglądałby on pewnie następująco…" – celowo od spójnika warunkowego, zaznaczając jednocześnie dalej tryb przypuszczający, by nie można było mi przypisać wiedzy z autopsji na temat zaszłego zdarzenia, opisanego w analizowanej rocie. Dla samej analizy istotne są oczywiście strony sprawy „kto, komu, co uczynił", a towarzyszące temu emocje są już dziś niedostępne bezpośredniemu poznaniu, więc w tym miejscu ponownie zgodzę się z Autorką, że jest to moje przypuszczenie – na pewno nie projekcja i nie wiedza z autopsji, ale za to zapowiedziane elementami gramatycznymi przypuszczenie.

Kolejną kwestią wymagającą sprostowania jest rola łaciny klasycznej jako punkt odniesienia dla analiz:

> Duże wątpliwości budzi sposób postrzegania przez autora obecnej w rotach łaciny. Choć we *Wstępie* do pracy wspomina się o nieregularnościach łaciny średniowiecznej (s. 25), to w części analitycznej przyjęta została perspektywa klasycznej (wzorcowej) gramatyki języka łacińskiego, a wszelkie odstępstwa od normy postrzegane są w kategoriach błędu. Świadczą o tym sformułowania typu: „Kolejną abrewiację wydawcy odczytują jako c^{ru}x, choć poprawną gramatycznie formą jest *crucem*" (s. 66), „imię *Andream* użyte jest w formie akuzatiwu, gdyż tego wymaga poprzedzający je przyimek *contra*" (s. 74) […]. Nie są natomiast brane pod uwagę inne możliwości, w tym: (1) posługiwanie się przez pisarzy łaciną średniowieczną, znacznie odbiegającą od klasycznych norm gramatycznych; (2) słaba znajomość łaciny przez pisarzy i mechaniczne zapisywanie stałych formuł.

W żadnym z analizowanych przeze mnie przykładów nie można wskazać, jakoby łacina średniowieczna odbiegała od normy klasycznej, ani też nie da się pokazać na przykładzie do łaciny średniowiecznej występowania wariantywności form, a co dopiero mówić o zupełnie odmiennej średniowiecznej normie dla przywoływanych przeze mnie przykładów. Zwracam uwagę na słowniki, z których korzystam, i na materiał w nich zgromadzony, dotyczący łaciny średniowiecznej w Polsce. Podkreślam, że nie tylko pod uwagę brać należy łacinę średniowieczną, ale dodatkowo jej geograficzne powiązanie z językiem wernakularnym, z którym wchodzi w związki (sprawa jest jeszcze bardziej skomplikowana, gdyż skryba może nie posługiwać się językiem polskim jako wrodzonym językiem, a jedynie jako wyuczonym; mógł być dwujęzyczny i wówczas ślady zmian form łacińskich mogą być trudniejsze do uchwycenia). Zupełnie inną kwestią jest mówienie o błędach, ich analiza, gdy uwzględni się świadomość metajęzykową średniowiecznych skrybów, pojęcie normy, istnienie zasad i ich zasięg oraz uniwersalność, czy raczej istnienie pewnego *decorum*. Materiał pozwala tylko uchwycić pewien stan języka w bardzo określonym momencie; mówiąc inaczej – jest to synchronia w diachronii. Wszelkie zatem uwagi, które odnoszę do języka czy to polskiego, czy łacińskiego, są oparte na takim modelu języka, z jego warstwowością form, które mogą się pojawiać w wyniku czynników zewnątrzjęzykowych. Zatem perspektywa klasycznej gramatyki łacińskiej, o której

wspomina Recenzentka, jest imputowaniem mi czegoś, czego przywołane przykłady bezpośrednio nie potwierdzają, jest to supozycja Autorki recenzji. Nie mogę się zgodzić również z uwagą, jakobym nie uwzględniał czynnika pamięciowego, formuliczności jako elementów wpływających na kształt języka (podrozdział 5.3.2).

Kolejną grupę stanowią przykłady, które w większości zostały odnotowane na 127 stronie i na końcu strony 126, gdzie czytamy [pominąłem fotografie, gdyż są one zbędne – w tym miejscu nie polemizuję z Recenzentką]:

> O wysokim poziomie trudności omawianych zagadnień świadczą również uchybienia w analizach samego autora. I tak na przykład:
>
> – brakuje konsekwencji w sposobie rozwijania abrewiacji: → *e w*^{angelia} (s. 63), ale → *e w*^{a}*n*$^{ge\underline{il}u}$***m*** (s. 65; podkreśleniem zwracam dodatkowo uwagę na przestawkę literową) – dlaczego mimo analogicznej pozycji w rękopisie litera *a* w pierwszym przykładzie jest zapisana w indeksie górnym, natomiast litera *m* w drugim przykładzie znajduje się w indeksie dolnym?

Zgadzam się z Autorką, że są to zapisy, które wymagałyby erraty, a o trudnościach na tym polu niech świadczy fakt, że nawet kilkukrotna korekta nie wyeliminowała z tekstu książki owych pomyłek, a część z nich powstała zapewne podczas redakcji. Na swoją obronę mogę napisać, że to właśnie sposób prezentowania materiału (bogaty materiał ilustracyjny) umożliwił wyłapanie tych potknięć, co utwierdza mnie w słuszności takiego rozwiązania redakcyjnego książki, umożliwiającego pełną kontrolę nad analizowanymi przykładami.

Chciałbym tylko podkreślić dość newralgiczne miejsce, które nie jest aż tak jednoznaczne w interpretacji, jak by to mogło wynikać z fragmentu recenzji:

> Podobnie nie są spójne oznaczenia odstępstw od rękopisu w leksemach ***ſ****olus*, ***S****taniſlaus*, *naſwade/cz****ſ****{t}wo* – w rzeczonej edycji z zasady nie jest oznaczane długie *ſ* (odpowiednio zapisano w niej: *solus*, *Stanislaus*, *na swadeczstwo*), dlatego żółtym kolorem należało oznaczyć więcej liter (brakujące oznaczenia pogrubiam): ***ſ****olus*, ***S****taniſlaus*, *naſwade/cz****ſ****{t}wo* […].

Złożoność tego problemu polega na tym, że oznaczenie lub nieoznaczanie długiego *s* ma swoje odmienne tradycje, korzeniami sięgające do zasad wydawania tekstów dawnych przygotowywanych dla tekstów łacińskich i staropolskich, czy szerzej dla języków wernakularnych, dla których ta praktyka też była zmienna w tym zakresie. Chcę powiedzieć, że gdy w tekście spotykają się dwa języki (z czego jeden to łacina), to spotykają się również dwie tradycje edytorskie. Sytuacja ta implikuje cały szereg kolejnych problemów, decyzji, jakie muszą zostać podjęte, by dać klarowny obraz źródła, które chcemy uprzystępnić. Dlatego, zestawiwszy wcześniej przykłady łacińskie z polskimi, nie można wdrażać automatycznych rozwiązań dla wszystkich przykładów. Tę dyskusję można byłoby wręcz odwrócić i zapytać, dlaczego w formach łacińskich miałoby być długie *s* oznaczone, przecież nie stosowano takiego rozwiązania, wydając testy łacińskojęzyczne, więc mówienie o odstępstwach jest głębszym problemem, podkreślam

raz jeszcze – wynikającym z odmiennych tradycji wydawniczych. Z tego właśnie powodu pisałem o chaosie, jaki panuje w wydaniach, gdyż nakładają się w jednej zapisce sądowej dwie rozbieżne tradycje (filologiczna i historyczna), które dodatkowo traktują te same zagadnienia w odmienny sposób.

Kilku słów komentarza wymaga fragment, który zaczyna się w ostatnim akapicie na stronie 122:

> Autor krótkiej charakterystyce poddał edycje papierowe (s. 37–39), zastanawia natomiast, dlaczego pominął edycję e-ROTha. Warto byłoby się jej przyjrzeć, zwłaszcza w kontekście sygnalizowanych w tytule książki wydań otwartych oraz podrozdziału 4.3. *W stronę wydania otwartego i interdyscyplinarnego*, gdzie postuluje się taką właśnie formę wydań jako pożądany kierunek rozwoju edytorstwa […]. Ogląd e-ROThy dałby możliwość zweryfikowania, jak sprawdza się wydanie elektroniczne o charakterze otwartym. Ponadto należało wspomnieć, że twórcy edycji elektronicznej opierali się na wydaniu H. Kowalewicza i W. Kuraszkiewicza, o czym informowali na stronie projektu: „Podstawą wyboru i odczytania tekstów zawartych w księgach ziemskich jest monumentalne wydanie przygotowane przez historyka i paleografa Henryka Kowalewicza oraz językoznawcę Władysława Kuraszkiewicza (1959–81)", a ich celem nie było wprowadzanie do tego wydania korekt – choć mają świadomość, że niektóre miejsca wymagają rewizji (dołączone zresztą zostały *Uwagi paleograficzne* Olgi Makarovej zawierające zestaw korekt) – ale nadanie mu „otwartej i elastycznej formy publikacji cyfrowej". To zaś tłumaczy zbieżności między dwoma edycjami i jednocześnie zbędnymi czyni uwagi autora typu: „Zwłaszcza ostatnie opracowanie tekstu przygotowane w ramach projektu e-ROThA powinno nieść ze sobą jakąkolwiek refleksję nad tak odmiennym podejściem do tekstu źródłowego, chociażby ze względu na możliwość zestawienia wydania ze skanem rękopisu, którą daje e-ROThA" (s. 74); „Tak jest w KowKur2 i zostało to powtórzone w projekcie e-ROThA" (s. 73; zob. też s. 78, 125).

Charakterystyka projektu, a *de facto* recenzja tegoż projektu, powinna zostać napisana już kilka lat temu. Jestem przekonany, że obecnie jest to prawie niemożliwe, gdyż projekt ten jest/był po wielokroć zmieniany, poprawiany, a historia zmian nie została uwzględniona, co prowadzi nas bezpośrednio do pytania, jak rozumiemy wydanie otwarte i co uczynić, by zachowało znamiona naukowości. Nie wydaje mi się, by umieszczenie wydania papierowego w formie publikacji cyfrowej i nazywanie jej otwartym wydaniem było właściwe. Delikatnie rzecz ujmując, jest to nadużycie i niezrozumienie problemu, który poruszam w książce. Kilkadziesiąt lat od wydania monumentalnego dzieła, jakim były *Wielkopolskie roty sądowe*, gdy nadarza się okazja, by coś zmienić, by podjąć dyskusję nad opracowanym materiałem, nad nowymi sposobami prezentowania tekstu, jego technologizacją (cyfryzacją), projekt e-ROThA, bez uwzględnienia kilkudziesięciu lat prac i naukowych osiągnięć na polu edytorstwa naukowego, przepisuje wydanie H. Kowalewicza i W. Kuraszkiewicza. Nie można tego skonstatować zdaniem: „ich celem nie było wprowadzanie korekt – choć mają tego świadomość, że niektóre miejsca wymagają rewizji". Pozbawianie czytelnika historii zmian wprowadzanych w tym projekcie także kłóci się z naukowym podejściem i możliwością krytycznego oglądu projektu. Historia

wprowadzonych zmian w wydaniu otwartym jest elementem kluczowym i przede wszystkim naukowym. Podtrzymuję zatem opinię na temat e-ROThA, że nieskolacjonowanie chociażby z późniejszym wydaniem T. Jurka (które *nota bene* przez długi czas w ogóle nie było uwzględniane nawet w bibliografii, ale jak już wspomniałem, nie ma już teraz możliwości weryfikacji, gdyż historii zmian się w tym projekcie nie odnotowuje) jest co najmniej uchybieniem.

Kolejna uwaga (s. 128) dotyka rysu historycznego wydań i wartościowania:

> podczas tropienia błędów wydawców nie należy tracić z pola widzenia ich osiągnięć. Edytorstwo, jak zauważa autor, w dobie nowych możliwości technologicznych staje przed nowymi wyzwaniami, tymczasem poddane oglądowi edycje powstały na innym etapie rozwoju nauki/edytorstwa – etapie, który pozwolił dojść do obecnego stanu i postawić pytanie o przyszłość edytorstwa. Są to edycje na miarę swoich czasów.

Rys historyczny wydań przedstawiłem w części wstępnej z oczywistymi ich uwikłaniami w moment dziejowy oraz toczące się wówczas dyskusje naukowe. O szacunku do ich dorobku pisałem i mówiłem niejednokrotnie, lecz gdy przychodzi do konkretnych analiz, wówczas ważny staje się – przedstawiony lepiej lub gorzej, adekwatnie lub nieadekwatnie, anachronicznie lub w sposób zadość czyniący współczesnym i ówczesnym wymogom edytorskim – materiał. Zarówno profesor H. Kowalewicz, jak i profesor W. Kuraszkiewicz byli naukowymi gigantami swojej epoki, to dzięki nim dziś dyskutujemy, ale czynimy to na podstawie faktów naukowych, które są efektem naszych analiz, narzędzi czy metod, jakimi się posługujemy.

Przykład, do którego chciałbym się w tym miejscu odnieść, dotyczy problemu adekwatności, zachowania proporcji w tym, co jest przedmiotem analizy (trzeci akapit s. 125):

> We fragmencie, gdzie mowa o tym, że: „Wyrażenie *testibus presentibus* ('w obecności świadków') jest dość typowe dla zapisek sądowych i pojawia się obok podobnych wyrażeń, np. *ad nostram presenciam* czy *in presencia dominorum*" (s. 115), brakuje precyzji w nazwaniu łacińskiej konstrukcji składniowej (*ablativus absolutus*). Byłby to dodatkowy argument uwierzytelniający sposób odczytu spornego słowa (*testis*/*testibus*) (s. 114), a przy tym dowodzący potrzeby tworzenia edycji średniowiecznych zabytków przez interdyscyplinarne zespoły (składające się nie tylko z historyków i językoznawców, ale również filologów klasycznych).

Rozpoznanie konstrukcji absolutnej a jej nazwanie są to dwie różne sprawy, a nienazwanie czegoś konstrukcją *ablativus absolutus* nie jest żadnym argumentem za powołaniem zespołu interdyscyplinarnego. Gdyby zaś przedmiotem analizy była składnia, wówczas odwoływanie się do konstrukcji absolutnej mogłoby i powinno być zaznaczone, wraz ze wzmianką, że w analogicznych pozycjach dopuszcza się wyrażenia przyimkowe. Lecz analiza nie dotyczyła składni, podobnie jak nie objaśniam łączliwości przyimków czy palatalności głoski *c* ← *t* w słowie *presencia* (zwracam uwagę na nieklasyczną postać słowa, którego nie sprowadzam do łaciny klasycznej, a które to uklasycznianie Autorka mi zarzuca; podobnie nie stosuję pisowni przez dyftong *ae*). Natomiast samo nazwanie łacińskiej konstrukcji *konstrukcją*

absolutną nijak nie uwierzytelni sposobu odczytu spornego słowa i nie zmieni analizy, bo niby na mocy której metody?! W takim też duchu utrzymana jest uwaga ze strony 125 dotycząca końcówki *-es*: „Dla porządku we fragmencie: «końcówka *-es* jest wykładnikiem Nom. pl oraz Acc. pl.» (s. 75) należałoby dodać, że *-es* może być też wykładnikiem Voc. pl. (nawet jeśli ten przypadek trzeba z góry wykluczyć)".

Zmierzając powoli ku końcowi moich uwag oraz licznych, choć nie wszystkich, odniesień do recenzji, chciałbym przywołać fragment, który z jednej strony pokazuje złożoność problemu, jakim jest konwencjonalizacja zapisu, z drugiej zaś stanowi pewne *novum* i wymaga dyskusji:

> Szkoda, że problem ten został jedynie zasygnalizowany, nie pojawiła się zaś propozycja możliwego postępowania edytorskiego, które pozwoliłoby go rozwiązać. Bez tego zaś nie sposób oceniać decyzji wydawców, zwłaszcza w owych „przypadkach granicznych".

Zasygnalizowanie problemu, który wiąże się z interpretacją wielkości niektórych liter w kontekście ich użycia majuskulnego lub minuskulnego, nie może być w ogóle postrzegane w sposób zasugerowany przez Recenzentkę, gdyż wydawcy przy edycjach konwencjonalizują pisownię w tym zakresie. Rozstrzygnięcie tego problemu, a tym samym ponowne rozpoznanie funkcji użycia np. wielkich liter i ich oznaczania w wydaniach, pojawi się, gdy n i e b ę d z i e m y w tym zakresie konwencjonalizować zapisu. Do momentu, aż to się nie wydarzy, dyskusja jest bezpodstawna, nie sposób bowiem czegokolwiek wydawcom zarzucać w tym zakresie.

Czy zatem wobec tego, co zostało napisane dotychczas, zgadzam się z poniższym fragmentem? (s. 129):

> Autor nie zidentyfikował nieuświadomionych dotąd problemów edycyjnych, co pozwoliłoby wypracować nową, interdyscyplinarną strategię wydawniczą. Dostarcza jedynie kolejnych przykładów i argumentów, które uzupełniają postulaty wysuwane przez innych badaczy. Analizy nie doprowadziły do sformułowania nowych wniosków, które mogłyby przyczynić się do rozwoju interdyscyplinarnego edytorstwa tekstów dawnych.

Uważam, że jest cień szansy, że wniosłem swą książką coś nowego do dyskusji, gdyż pewna liczba nieporozumień (jak w wypadku majuskuł czy mieszania porządków wydawniczych w obrębie jednej zapiski sądowej, czy wreszcie konwencjonalizacji zapisu, który to temat nie był poruszany w kontekście nowych propozycji wydawniczych) rzuca nowe światło na problemy, których rozwiązanie dopiero stoi przed nami. Nawet jeśli jesteśmy karłami na ramionach olbrzymów, to raczej należy o tym myśleć nie w kontekście sentencji wyrażonej przez Bernarda z Chartres (? – świadomie postawiony znak zapytania), lecz eseju, wykładu Umberta Eco, który kończy się akapitem: „Być może krążą już gdzieś w cieniu nieznani nam jeszcze olbrzymi, gotowi usiąść na naszych ramionach, ramionach karłów"[4].

4 U. Eco, *Na ramionach olbrzymów. Wykłady na festiwalu La Milanesiana w latach 2001–2015*, przeł. K. Żaboklicki, Noir sur Blanc, Warszawa 2019, s. 30.

Uwaga Recenzentki, że „cel [pracy] został niejako osiągnięty jeszcze przed podjęciem badań", wymaga głosu polemicznego, gdyż celem było „rozpoznanie obszarów, które wymagają konkretnych rozwiązań, aby w ogóle zaistniała możliwość realizacji idei wydania otwartego", i prawdą jest, że wskazałem te obszary i w części wstępnej, i w pierwszej partii części analitycznej. Ale przecież książka nie odzwierciedla porządku badań, a rozpoznanie nie oznacza tylko zidentyfikowanie, ale także zbadanie, rozpatrzenie czegoś. Oczywiście i zidentyfikowanie, i zbadanie nastąpiło w efekcie badań.

Ostatnia moja uwaga odnosi się do słów:

> Autor wykazał, jak istotna w edycji jest troska o szczegół, detal. W związku z tym należałoby się spodziewać, że uraczy czytelnika pracą wzorcową.

Napawa optymizmem fakt, że coś jednak udało mi się pokazać. Wspaniale zapewne byłoby uraczyć czytelnika wzorcową pracą, ale czy jest to w ogóle możliwe, czy gdyby takie prace powstawały, to aby na pewno zrodziłaby się idea wydania otwartego – szczerze wątpię. Dodatkowo na uwadze trzeba mieć fakt, że wiedza ma charakter kumulatywny, dlatego wydania otwarte mają głęboki sens. Inną nieodłączną stroną naszej pracy są lapsusy językowe, które umykają czasami czujnym oczom korektorów, i – ponownie – wydanie otwarte stanowi na to jakieś remedium. Tłumaczy to po części również podejmowane przeze mnie decyzje w kwestii umieszczania licznych ilustracji odwołujących się do wydań, rękopisów, by mieć wgląd i możliwość weryfikacji tego, co nieuchronne, mianowicie potknięć.

Od redakcji

Zgodnie z przyjętymi zwyczajami nadesłaną polemikę autora recenzowanej książki publikujemy bez zmian i skrótów, mimo jej objętości przekraczającej normy przyjęte dla tego rodzaju tekstów. Tekst udostępniliśmy również recenzentce dzieła, która postanowiła nie skorzystać z możliwości zamieszczenia dupliki. Także redakcja powstrzyma się od komentowania sprawy, pozostawiając jej ocenę Czytelnikom.